

"Kawa, herbataa może grog?"

Krystyna Rypniewska – historyk sztuki, członek Stowarzyszenia Przyjaciół Koszalina

Przedwojenny Koszalin oferował swoim mieszkańcom a także przyjezdnym całkiem sporo atrakcji. Nie można się tu było nudzić. Miłośnicy historii i sztuki mogli odwiedzić muzeum regionalne przy dawnej Danzigerstrasse, obecnej ulicy Piłsudskiego lub galerię sztuki Hugo Hela. Bogatą ofertę posiadał Dom Koncertowy i Teatr Miejski zajmujące wspólnie budynek przy głównej ulicy miasta, na skraju parku – w miejscu obecnej siedziby CK 105. Jednak główny nurt życia towarzyskiego, pomijając koncerty i przedstawienia teatralne, toczył się w licznych restauracjach, kawiarniach, cukierniach i winiarniach.

Jeden z dawnych przewodników po Koszalinie, z lat dwudziestych XX wieku, wymienia 7 restauracji hotelowych, 20 restauracji i gospód z daniami obiadowymi, 7 kawiarni z cukierniami i winiarniami wreszcie 9 restauracji na obrzeżach miasta, które zwykle były celem pieszych wędrówek dla spragnionych odpoczynku na łonie natury. Doprawdy imponująca liczba jak na miasto, które posiadało w tamtym czasie, a dokładnie w 1930 roku, 30 289 mieszkańców.

W Koszalinie, podobnie jak w innych pomorskich miejscowościach, życie skupiało się wokół rynku i to tutaj znajdowały się najbardziej znane hotele z okazałymi restauracjami. Z pewnością najbardziej popularnym był lokal w największym – i jak pisano w 1933 roku – nowoczesnie wyposażonym hotelu "Następca tronu", znajdującym się w jego południowo-wschodnim narożniku.

Restauracja zgodnie z duchem czasu, a ściślej lat dwudziestych XX wieku, nosiła piętno wytwornej secesji z prostymi sprzętami, ścianami pokrytymi boazerią i skromną ornamentacją

polichromią. Ale klientów wabiła przede wszystkim: "pierwszorzędną kuchnią, winami najlepszych domów, dobrze pielęgnowanym piwem i ...niskimi cenami". Po przeciwległej stronie rynku, w miejscu dzisiejszego ratusza, można było zajrzeć do restauracji hotelowej "Niemiecki Dom" z wnętrzem bardziej przytulnym, wyposażonym w wygodne, pluszowe kanapy i przeszklone kredensy. Tutaj przyciągać miały : "sale przeznaczone na zebrania i uroczystości, światło elektryczne, garaż i centralne ogrzewanie". Natomiast miłośnicy tradycji regionalnej nie mogli ominąć "Izdebki jamneńskiej" w rynku, ozdobionej sprzętami z typowymi jamneńskimi motywami zaś koszalinian tęskniących za podróżami i zamorskimi krajami przyciągać musiała – chyba najbardziej oryginalna – kawiarnia "Afryka" (znajdowała się w nieistniejącym dziś budynku u zbiegu ulic Połczyńskiej i Konstytucji 3 Maja). W 1928 roku zapraszała chętnych "....codziennym artystycznym koncertem i godnym zobaczenia afrykańskim zbiorem". Niewątpliwie duże wrażenie musiały robić prezentowane tam trofea afrykańskie – rogi antylop, trąba słonia, skorupa żółwia, oszczepy i wiele innych. Dodatkową atrakcją obok jej egzotycznego wystroju był czarny portier z Afryki witający gości. Co ciekawe podobne osobliwości przechowywano także w koszalińskim muzeum. Otóż inwentarz muzealny z 1945 roku odnotował wówczas obecność niemal identycznych przedmiotów jak te znajdujące się w kawiarni. Jeszcze w 1954 roku można było ów afrykański zbiór podziwiać na ekspozycji w willi muzeum przy wówczas ulicy Armii Czerwonej, dzisiejszej ulicy Piłsudskiego.

Większość kawiarni i cukierni ulokowana była przy głównej ulicy miasta. Zwykle na kawę i ciasta zaglądano do Carla Bewersdorfa (dzisiaj ul. Zwycięstwa 51), do Willego Auschrata (obecnie księgarnia "Pegaz") wreszcie do kawiarni "Pohlenz", która znajdowała się na rogu dzisiejszych ulic Zwycięstwa i Grodzkiej, tuż przy wejściu do parku. W reklamie, która zachęcała do niej gości, w 1930 roku pisano: "...najstarsza i najznakomitsza kawiarnia, codziennie wysokiej klasy koncerty od 16 do 19 i od 20.30 do 0.30...".

Jednak dawni koszalinianie – o ile sprzyjała aura – wolny czas i weekendy najchętniej spędzali na wolnym powietrzu. I tu wybór był wprost nieograniczony; jedni mogli wybrać plaże w wielu miejscowościach nadmorskich, inni - zwolennicy zieleni i spokoju – mieli do dyspozycji mnóstwo restauracji i kawiarni ogrodowych. Takie upodobania zapewniały lokale w samym mieście ale i te znajdujące się na jego obrzeżach. Wszystkie kierowały mieszkańców Koszalina w stronę Rokosowa, Góry Chełmskiej i jeziora Lubiatowskiego. Były ulubionym celem krótkich spacerów na popołudniową niedzielną kawę lub całodziennych wędrówek. W ten sposób wypiwszy filiżankę kawy bądź kakao w kawiarni "Pohlenz" można było odwiedzić idąc dalej: lokal przy Teatrze Miejskim, a także zajrzeć do restauracji "Stary Heidelberg" (w miejscu, gdzie mieścił się "Miastoprojekt", u zbiegu ulicy Piłsudskiego i Moniuszki). Ulubionym miejscem rodzinnych wypraw w ciepłe dni była popularna restauracja ogrodowa Kirscha nazywana też "Mieszczkański ogród", która znajdowała się w dawnym budynku kina "Zacisze". Lubiana za piękne położenie wśród zieleni oraz obecność podcieni chroniących przed zbyt mocnym słońcem. Niewiele dalej mieściła się kolejna o nazwie "Niemiecki Dąb". Obie zapraszały klientów na niedzielny przedpołudniowy kufel piwa i na bardzo popularne wieczorne imprezy taneczne. Koszalinianie, którzy nie obawiali się dłuższego spaceru mogli wybrać się do ogrodu przy restauracji

nazywanej "Kamień żółciowy". O wiele wygodniej, nie przemęczając się zbytnio można tam było dotrzeć miejskim tramwajem. Restauracja ta swoje powstanie jak i późniejszą dość oryginalną nazwę zawdzięczała....zapisowi testamentowemu jaki uczynił na rzecz miasta Johann Friedrich Kaufmann, urzędujący do 1829 roku chirurg okręgowy. W zamian za ofiarowaną sporą sumę nałożył na miasto obowiązek urządzenia dla wszystkich koszalinian miejsca zabaw i wypoczynku. Nazwa lokalu upamiętniać miała jego działalność jako znanego lekarza.

Idąc dalej i przewidując znacznie dłuższy spacer można było dotrzeć na skraj Góry Chełmskiej do pięknie położonej restauracji Kuhsego ze schodkowo usytuowaną na lekkim wzniesieniu przeszkloną werandą. Położona była w pobliżu ulubionego toru saneczkowego, który zimą przyciągał prawdziwe tłumy, a przemarznięci miłośnicy sportów zimowych mogli u Kuhsego rozgrzać się kubkiem gorącego mleka lub filiżanką kakao.

Jednak już niemal prawdziwą wyprawę należało zaplanować wybierając się do restauracji przy wieży widokowej na Górze Chełmskiej. To tam na szczycie gromadzili się mieszkańcy Koszalina w upalne lato, aby ugasić pragnienie i się wzmocnić, a zimą żeby się rozgrzać i schronić przed mrozem.

Szlak wycieczkowy jednak się tutaj nie kończył. Chętnie odwiedzano także restaurację "Młyn papierni" i gospodę nad jeziorem Lubiatowskim. Ale i po drugiej, zachodniej stronie miasta swoich stałych klientów miały zacisznie położone, na uboczu i w otoczeniu tak lubianej zieleni; gospoda "Leśniczówka", która znajdowała się w lesie bukowym, po lewej stronie drogi prowadzącej z Koszalina do Mścic i nieco dalej, tuż za lasem, przy przystanku tramwaju plażowego do Mielna – restauracja "Waltornia".

Post scriptum

"Wigilia w kawiarni "Auschrät" była największym świętem w roku. Sklep i kawiarnia bywały zawsze tego dnia otwarte do wczesnego popołudnia. Było to koniecznym, ponieważ do ostatniej minuty u Auschrata chętnie kupowano. Jak pięknie grzmiała wtedy muzyka! i rozlegały się życzenia "wesółych świąt". Potężne szklane drzwi wiodące do kawiarni ciężko wahały się to w tę to w drugą stronę razem z wchodzącymi i wychodzącymi gośćmi. Jedni wchodzili pospiesznie inni jeszcze ze spokojem wypijali filiżankę kawy, herbaty, grog lub gorącą czekoladę".

Należy przypomnieć tylko, że grog to rum lub inny mocny trunek, rozcieńczony wodą, który mógł zawierać sok z cytrusów, cynamon, gorącą wodę lub cukier dla poprawy smaku.

(fragment wspomnień Hanny Zink z domu Auschrät)

" Około połowy października robiło się w naszym sklepie szczególnie przyjemnie. Po całym domu snuł się lekki zapach pieczonych pierników i woń marcepanów. W cukierni rozpoczynał się jeszcze większy ruch niż zwykle, a my dzieci wiedziałyśmy, że rozpoczynają się chwile przez nas najbardziej lubiane. Przede wszystkim z tego powodu, że mogliśmy wtedy być wszędzie obecne. Widziałyśmy kiedy z pieca wyciągano pierwsze blachy z piernikami różnych rodzajów, które po ostudzeniu przechowywano w drewnianych beczkach. Pierniki pieczono na dużych blachach i je krojono. Z kawałków robiono potem domek czarownicy, który ozdobiony stawiano w witrynie. Oprócz pierników przygotowywano wiele innych świątecznych specjałów, wiele z marcepanu własnej produkcji".

(fragment wspomnień Hanny Zink z domu Auschrät)